№ 36. 7. Września. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Odpowiedź na krytykę Wojny Chocimskiej,

w numerze 26. Dodatku literackiego do Czasu umieszczoną.

(Dokończenie.)

Krytyk mówi, że autor w tymże ustępie wzmiankuje o swojej osobie tylko *mimochodem*, nie chcąc pominąć ani jednego szczebla w rodowodzie domu swego, jakoteż że imię swoje jawnie tylko dla rymu położył. Przytacza więc krytyk znowu tylko dwa wiersze odcięte od poprzedzających i następujących i zamilcza o dodatku dotyczącym Pisarskich i o dedykacji dzieła: Navigium laureatum; przytoczonym zas dwom wierszom takie daje objaśnienia w nawiasie:

Jakie czynił odwagi (dziad twój) i tu jakie po nim
Syn jego a kochany (właściwie kochający) ojciec
twój Hieronim.

Zapewne panie krytyku, jeżeli się godzi podciąć kontusz na frak i powiedzieć: to Francuz! Ale przypuśćmy na chwilkę że prawidła krytyki pozwalają rozrywać miejsca należące gramatycznie i logicznie do siebie; że wolno jest zamieniać wyrazy autora na inne; że tak jest jak chcesz: Hieronim żyje, pisze dedykację i wspomina jak mówisz *mimochodem* o sobie; coż wtedy? oto następuje zaraz po słowach: „*W grobie się nie zawarła*“ najszumniejszy panegiryk którym autor sławi ojca i dziada:

. . . . bedą wiekowały
Ich szczęśliwe urobki, póki rzeki w morze
Płyną; póki człek ziemię dla żywiołu orze;
Póki zima za latem, noc za dniem w kolei;
Póty ich stawać będzie w piersiach ludzkich dziei.
Będą je sobie poźni przez ręce prawnucy
Podawać» i t.d. i t.d.

Miałżeby to mówić o sobie autor który (str. 43) tak mówi:

Wiem ja że nie bez wstydu z strony to obojej,
Tak w oczy chwalić, jako słuchać chwały swojej.

Miałżeby tak mówić o sobie autor który szuka przykładów dedykacyj krewnym pośród innych autorów, aby nie zgrzeszyć zbytnią pamięcią o swoich? Czy to znaczy wspominać o sobie *mimochodem?* Czy krytyk myśli na serjo, że ziomkowie w kraju są tego rodzaju znawcami, iż wezmą ten panegiryk za słówko powiedziane mimochodem? Lecz ktoż to tyle śmiałości, odwagi pokazał? — — — Nie masz podpisu! . . . i to podobno cały rozum krytyki.

Z podobnież poczciwą taktyką i w głębokiej swojej pokorze, której rodzic pychy nie podszepnąć nie zdoła, z wyraźnych słów autora opisującego potrzebę pod Chocimem „*jam tam nie był*“ wydobył krytyk taki wniosek: *Autor*, mówi on, *mógł tam być albo mógł i nie być, albo tylko w tem miejscu nie był gdzie ptaki od huku dział spadały.*

Podobnież i w podobnych zamiarach zbija krytyk analogię którą autor usprawiedliwia swoją dedykację i nicuje ją tak ażeby zdanie wydawcy obalić, że Jan Lipski jest synowcem Andrzeja. Jest to znowu próbka głębokiej pokory i czystych zamiarów krytyka; obaczmy ją bliżej.

Autor mówi w dedykacji tak:

„*Nie wadziło to nigdy wielkim i piśmiennym ludziom. jako Pliniusowi, gdy synowcowi; Senece, gdy własnym synom swoim; ale i za pamięci naszej, nie wadziło Pawłowi Piaseckiemu biskupowi przemyskiemu, kiedy* także *rodzonemu synowcowi swemu, opatowi mogilskiemu, swoję dedykował historją.*„

Jasną jest rzeczą, że autor szuka podobnych przykładów dedykacji pośród innych rodzin, ażeby mu nie zarzucono że *pro domo sua* wyłącznym jest zapaśnikiem. Wybiera on przykłady dedyka-

cyj synowcom w większej liczbie a przykład Seneki jako *argumentum a fortiori* stawia. Coż można wnieść rozsądnie z tej analogji? Oto że ten któremu autor dedykuje poemat swój, jest *także* synowcem. — Analogji istota w tem zależy, żeby się opierała na więcej podobnych przypadkach, nie na jednym i to różniącym się od przypadku danego. I nie sprzeciwiają się tej anologji dwa ostatnie wiersze dedykacji:

Tegoć szczerze, bo ojciec kochający życzy,
Co w tobie wszytko szczęście za swe własne liczy»

Bo ileż powodów w życiu rodzinnem, w życiu społecznem nawet, do imienia ojca! Mógł Andrzej być opiekunem niegdyś Jana; mógł ten tytuł opierać się na serdecznej zażyłości starszego z młodszym; mógł go przysposobić za syna aktem cywilnym w widokach spadkobierczych; mógł mu swoją fortunę już za życia zapisać i t. p. wypadki. I tylko tak uważając rzeczy można pogodzić niektóre miejsca które, inaczej uważane, mogą być niepojętemi sprzecznościami co do stosunku autora z Janem Lipskim. Wszakże przypuśćmy że się rzecz ma odwrotnie: że autor, jak utrzymuje krytyk, *idzie w ślady Seneki i synowi swojemu dzieło poświęca;* coż wtedy? oto analogja z siebie słaba, bo tylko jeden za nią przykład przemawia, a autor ją jeszcze bardziej osłabia, przywodząc dwa przykłady, które pod względem samochwalstwa śród rodziny (: rzecz której właśnie autor uniknąć chce:) prędzejby uszły jako odnoszące się już do dalszych związków w rodzinie a zatem do mniej rażących. Kto więc autorowi chce przypisać logiczność w myśleniu i nie ma powodu odmówić mu jej, ten w uczciwości chrześciańskiej weźmie autora za to, za co on się sam przedaje, nie zaś za to czem on być nie chce i czem być nie dał powodu. Ale nasz krytyk tak argumentuje: *Słówko* także *ściąga się* (sic!) *do Pliniusza, którego przykład Piasecki pod względem dedykacyi naśladował* i wnosi natychmiast: *autor więc, jak dowiodłem, był rodzonym ojcem a nie stryjem osoby, której dzieło za przykładem Seneki przypisał w upominku* (sic!). A winszuję waćpanu tej kozackiej logiki!

Nie mogę tu pominąć jeszcze jednego szczegółu którego krytyk albo nie mógł albo nie chciał rozważyć. Powiedziałem w przedmowie tak:

„Z tego cośmy dotąd powiedzieli, *zdaje mi się iż czytelnik powinienby powziąść przekonanie,* że Andrzej Lipski stryj Jana starosty czchowskiego jest autorem wojny chocimskiej, *i to właśnie spowodowało mię, iż imię jego położyłem na czele niniejszego dzieła.*"

W tej mowie niemasz kategorycznego sądu: *oto Andrzej Lipski jest autorem:* wiedziałem albowiem, że dowód mój nie jest dowodem wprost, lecz jest dowodem opartym na zbiegu dat czyniących prawdopodobieństwo najwyższe. Póki więc daty, na których opieram mój wniosek, nie są odparte nowemi jawniejszemi dowodami, póty twierdzenie moje warunkowe, że Andrzej Lipski jest autorem, stoi niezaprzeczone. Pokażą się z czasem daty oznaczające kogo innego autorem, lub wykazujące niemożliwość mego twierdzenia warunkowego? natenczas twierdzenie moje ustąpi miejsca innemu. To najwyższe prawdopodobieństwo spowodowało mię, że na czele dzieła położyłem imię Andrzeja Lipskiego i mam do tego upoważnienie z praktyki literackiej dawnych i nowych wydawców. Spojrzyjmy na wydania klasyków rzymskich z których nie jeden stoi na czele dzieła całego lub w części przynajmniej nie własnego; dzisiejsze nawet wydania ich nie odmieniają formy i zawierają w sobie części poźniej podrobione; objaśnione wzmianką tylko o wątpliwej autentyczności. Że wspomnimy tu tylko tak zwane Cycerona 4 księgi *Rhetorica ad Herennium*, tudzież *Liber de consolatione*. I w naszych czasach Pertz wydając ułamki zatraconej jakowejś historyi rzymskiej z *palimpsestu* i nie mając pewności który z historyków ją pisał, wydał ją według najbliższego podobieństwa stylu pod tytułem: *Bruchstücke des 98ten Buchs des Titus Livius*. Smiem twierdzić, że daleko ważniejsze dowody spowodowały położenie imienia Andrzeja Lipskiego na czele dzieła i że w tej mierze mniej jeszcze mam prawa do przydomku którym mię nasz krytyk obdarza, niżeli zaszczytnie znany niemiecki uczony i wydawca

Żałuję nie pomału, że nie mam szczęścia bliżej poznać mego krytyka. Bezimienność jak noc cymbryjska zakryła jego pobożne i pokorne oblicze, i niestety! nie będziemy wiedzieli, kto literaturze naszej uczynił tak ważną przysługę wynalazkiem użycia krytyki za parawanik swoich osobistych uraz, za służebnicę swojej prywaty. Mniejsza o twoje fochy, panie krytyku! nie wiem komu z nas dwóch publiczność każe tańcować na deskach parafiańszczyzny; ale przydomek „lada" lepiejby przystał do twojego urzędu. Żałujemy bardzo, że Rzeczpospolita babińska nie dożyła naszych czasów; ot byłbyś miał w niej także znakomity urząd! (a zdaje się że lubisz urzędy.) Wtedyto Czas, wielbiciel rozmaitych znakomitości, otworzyłby dla pióra twego nie półtrzecia, ale przynajmniej sześć kolumn, a zdziwione echa w pokorze powtarzałyby:

„Obaście siebie godni, obaście wieczyści:
Tyś godzien organistów, ciebie organiści."

Lwów d. 21. Sierpnia, 1850 roku.

Stanisław Przyłęcki.

Chód o pół nocy.

Z niemieckiego: Grzegorza Herwegha
tłumaczył Adam Pajgert.

1.

Wraz z duchem północy, ja stąpam milczący
Przez ciche, szerokie ulice,
Tu płacz przed godziną, tam śmiech był krzyczący,
A teraz sen zamknął źrenice.
Już zwiędła wesołość do kwiatu podobna,
Spienione puhary przestały już lśnić!
Wraz z słońcem zgasł smutek, i troska żałobna;
Świat spoczął znużony — O dajcież mu śnić!

2.

Nienawiść ma zgasła i gniew się rozprysnął,
Gdy walkę skończyły dnia burze,
A księżyc łagodnym promieniem wybłysnął,
I olśnia, choć zwiędłe już róże.
Jak podźwięk ulotna, bezdźwięczna jak gwiazda,
Niech krąży ma dusza w przestrzeniach tych znów,
chętnie, jak gdyby w własnego głąb gniazda,
W tajniki niech ludzkich zatapia się snów!

3.

— — — — — — —

4.

— — — — — — —

5.

Tam chatka nad brzegiem strumyka, a łoże
W niej głód i niewinność zaległy,
Lecz pan dla wieśniaka, dał jasnych snów róże,
By sny od rozpaczy go strzegły.
Gdy ziarnko mu rzuci snu ręka skrzydlata,
Już niwy złocone w krąg plonem mu lśnią,
Już chatka w szerokość rozdyma się świata —
O Boże ubóstwa, ubodzy niech śnią!

6.

Przed domem ostatnim na ławce kamiennej,
Z modlitwą na chwilę usiędę;
O, wiecznie, dziecino, Ty twarzy promiennej!
Ja wolność i Ciebie czcić będę.
Na chmurkach, gołąbki kołyszą Cię w parze,
Podemną koń dziki się wspina i rży;
Ty śnisz o motylkach, ja o orłach marzę —
O Boże miłości, niech dziewczę me śni!

7.

— — — — — — —

Smutne życie.

W pośród światowych uciech powodzi
Mojego szczęścia listek nie wschodzi,
Ni mnie godowe wabią puhary
Ani mię bawią wiosenne gwary,
Gdy moje słowo wejdzie śród ludzi,
Jednych rozśmieszy, drugich unudzi.

Dni me spadają jak ziarnka piasku,
Bez żadnej barwy, woni i blasku
Jedne po drugich — tak całe życie
Upływa w myśli cichym korycie,
I niewiém nawet, nagród Królowa
Czy swoich przysiąg wiernie dochowa,
Czy zechce trudy moje odwdzięczyć
Zielonym liściem skronie uwieńczyć?

Wł. Z.

O trudności porozumienia się u nas.

Dość liczne narzekania na mierność Dzienników, na trudność zebrania więcej sił ku jednolitemu działaniu, na niepodobieństwo prawie ogólnego porozumienia się w nader wielu a wielu dotąd nierozstrzygniętych a żywotnych pytaniac, — powodują mnie do napisania o tem słów kilka. Nie jestem zdania, iż potrafię wynaleść owe jaja Kolumbowe, któreby temu niedostatkowi stanowczo zaradziły, i o-

wszem, jak się to niżej pokaże, śmiem twierdzić, iż w tym razie żaden wynalazek nic by nie pomógł, — tak samo, jakby i narody ciemne nie mogły przyjść w jednej chwili do ogólnej oświaty. To złe jest podobne tamtemu.

Jeżeli się nad umysłowem życiem innych narodów zastanowimy i ztąd wynajdziemy, co u nich jest przyczyną łatwości wzajemnego porozumienia się w każdym względzie, to zapewne łatwo nam będzie odgadnąć, że brak tego samego, będzie u nas główną przyczyną tej niezwalczonej trudności. Mojem zdaniem, są to szkóły publiczne. — We Francji na przykład, (przyzwyczajeni jesteśmy we wszystkiem Francję brać sobie za przykład; — acz daleki od tego, ażebym zalecał bezwzględne jej naśladowanie we wszystkiem, niewidzę jednak w tem złego, iż by na niej czynić doświadczenia, i zaiste lepiej na niej jak na sobie,) niemasz nic łatwiejszego, jak utworzyć stowarzyszenie, w celu jednolitego działania: w dniach kilku zbierze się potrzebna liczba członków, w drugich dniach kilku już się porozumieli i przystąpili do czynności. — I cóż jest przyczyną tej łatwości? Oto ci ludzie w jednych lub na jednym systemie opartych, krajowych, uczyli się szkołach, ich wyobrażenia, ich pojęcia, tak są do siebie zbliżone, że bardzo mało czasu potrzeba, ażeby z po-szkolnych wywnętrzyli się nabytków, — a chociaż ich własne, w sobie wyrobione opinije mogą się i bardzo różnić od siebie, toż zawsze te fundamenta, na których się one rozwinęły, są prawie u wszystkich jednakowe. Ztąd owa możność u nich, mówienia o wszystkiem z łatwością i ledwie dotykając się przedmiotu, owa łatwość zrozumienia się za pomocą słów kilku w każdym przedmiocie, bo przedmiot sam jest tak ogółową, tak pospólną własnością że każdy go ma we wnątrz siebie w całej zupełności, a dodatek indywidualny tak nieznaczny, że nie potrzeba wiele czasu, ażeby go dać poznać drugiemu.

Jakże inaczej jest u nas! U nas jeżeli kto co umie, to niezawodnie sam się tego nauczył, sam przetrawił, sam wyrobił, i ma o tem wewnętrzne przekonanie, — u nas można powiedzieć każdy jest samorodny w naukach, auto-didaktos. U nas niemasz tej świadomości, że ta albo owa nauka obecnie stoi na tym lub owym stopniu w narodzie, więc i każdy aż dotąd jej się nauczył i dotąd umie. U nas każda nauka w każdej głowie na innym jest stopniu, — ten bowiem na niemieckich, ów na francuzkich, inny na angielskich kształcił się wzorach, nie po równej mierze biorąc do tego własnych, ojczystych, — to też i naturalna ztąd gmatwanina pomiędzy umysłami oświeconej części narodu, i tem naturalniejsza trudność zrozumienia się. To też i u nas kiedy się dwóch oświeconych ludzi zejdzie, ileż nie muszą sobie nagadać samych elementarności, ażeby przyjść do tego, iżby dopiero mogli zacząć mówić o rzeczy; a jakżeż jeszcze daleko zrozumienie się wzajemne? Stare przysłowie: że aby poznać człowieka trzeba znim beczkę soli zjeść, — dopiero dzisiaj znalazło potwierdzenie w rzeczywistości.

Słyszałem nieraz skażrących się na to, że u nas trudno o tak łatwą konwersacją, jak we Francji, — skarżący się na to, przypisują to niewyrobieniu naszego języka. Fałsz wierutny! Niepodobieństwo takiej konwersacji wypływa z tego samego źródła, co i trudność porozumienia się. Jakżeż mogą ci ludzie rozmawiać łatwo o przedmiotach, kiedy każdy go inaczej już w samych elementach pojmuje, jakżeż mogą o nim mówić li powierzchownie, kiedy oni potrzebowali by sobie ten przedmiot wzajemnie aż od abecadła wyłożyć, ażeby wyrozumieli, co który z nich przez ten przedmiot rozumie? Przysłuchując się takim rozmowom francuzów, posądzamy ich, że oni tylko po powierzchni przedmiotu się ślizgają, niedotykając jego rdzeni, jego miazgi. Nie zawsze to posądzenie, jest prawdziwem. Pomiędzy ludźmi, którzy wykładu pewnej nauki na jednej słuchali wszechnicy, częstokroć, dość jest jednego słowa, jednego wymówionego nazwizka profesora lub dzieła, aby dotknąć się tego przedmiotu jak najgłębiej, niepotrzeba tam długich wywodów i dowodów, porozumienie się łatwe. Tym sposobem dwaj mówiacy mogli w krótkim czasie jakiś przedmiot obmówić jak najgłębiej i najwszechstronniej, a niewtajemniczonemu słuchaczowi zdawało się słyszeć gawędkę prowadzoną dla formy lub zabicia czasu.

Owóż więc różnica naszego wychowania i owa samorodnośc w naukach, jest przyczyna tak w oczy bijącej trudności wzajemnego porozumienia. Pochopność do wyrokowania, lenistwo pobudzające nas do składania przyczyn niejednego złego na jakąś dziedziczność przywar, na pewne przymioty już we krwi będące, z mlekiem wyssane, etc. wreszcie niewykorzenione przesądy, wywołują nieraz z nas wyznania, żeśmy już na ostatku do tego lub owego całkiem niezdolni. Tak i ową niezgodność w zdaniach i trudność pogodzenia się, przypisywano nie rzadko wrodzonej kłótliwości Polaków, — niektórzy nawet suszyli sobie głowy nad tém, aby tej natury dowieść sobie historycznie. Wielka to niedorzeczność! Przypomnijmy sobie epokę szkoły Klassyków za Stanisława Augusta, czasy kwitnących nauk w Kongresowem Królestwie, czasy istnienia uniwersytetu Wileńskiego, szkół Krzemienieckich, czyż nie przyznamy że tamci ludzie, acz także niezaprzeczenie byli Polakami, bliższymi nawet tej krwi kłótliwej, przecież porozumiewać się mogli, i ku jednemu celowi swe czynności jednoczyć umieli? Niebędzież nam dostatecznym na to dowodem żelazna falanga klassyków stojąca istnie pod kartaczowym ogniem szkoły romantycznej? a szkoła podchorążych, tyle głów i serc, a przecież jedna myśl? a uniwersytet Wileński, rozumiejący się przez lat tyle tak dobrze pomiędzy sobą, jak dziś francuzi. i podobno jeszcze lepiej?

Owóż, co jest przyczyną tego nierozumienia się, jakie nas ogarnęło dzisiaj; chciejmy się tylko zastanowić nad wszystkiem, a niezawodnie prawdziwej dójdziem przyczyny.

Pozostaje mi jeszcze wspomnieć, o jednym niedostatku, który z tego samegó wypływa źródła. Skargi na słabość i wieczna mierność naszego dziennikarstwa są aż nadto sprawiedliwe. Dziennikarstwo u nas było zawsze słabe, jest słabe, i będzie niem tak długo, dopóki go inne pokolenie w jednej szkole wyuczone na inne stanowisku niepostawi. Jeżeli się zas zdarzy, że się jeden dziennik cokolwiek nad mierność podniesie, to nie na długo, brakiem soków żywotnych, moralnych albo fizycznych upaść musi. Tu już owe źródło złego, wyż wymienione, daleko szerzej swoje wpływy rozpuszcza. Wytłumaczmy się jaśniej.

Jeżeli rzeczywiście jest trudność wzajemnego porozumienia się, to dzieje się to zarówno w mowie, jak i w piśmie A kiedy tak jest, pytam się, jakim obyczajem może piszący przystąpić do napisania artykułu dziennikarskiego, traktującego o jakiejkolwiek nauce? Pierwszym warunkiem wszelkiego rodzaju płodów dziennikarskich jest bezzawodnie unikanie wszelkich wstępów, introdukcyj, przedmów, — dziennikarz musi tak jak rębacz naturalista wpaść od razu na cięcia, in medias res, bez wszelkich przedwstępnych tańców i przygotowań, — inaczej nim przyjdzie do rzeczy, to już całą książkę napisał; — a jakżeż on znowu może wejść in medias res, kiedy te mediæ res ,leżą na priorach, a priorów jego nikt nieznа? Więc któż go zrozumie? Przykład tego mieliśmy na naszych politycznych dziennikach w roku 1848; gdyby nam każdy z tych panów Redaktorów, był naprzód wydrukował z parę tomów, w których by nam był wyłożył teorję swoich politycznych i naukowych zasad, natenczas bylibyśmy zdołali wyrozumieć, czego nas chce nauczyć dziennikiem. Bez tego, pomimo tylu dzienników zostaliśmy w nieporozumieniu, — myśmy milczeli znając tego nieporozumienia przyczynę, ale znaleźli się tacy, którzy czytając którykolwiek z tych dzienników najpilniej, a ani za miesiąc ani za kilka miesięcy, niemogli dośledzić zasady, na której p. Redaktor coś, bo niewiedzieć nawet i co budować myśli, posądzili pana Redaktora, że nawet on sam siebie nierozumie. Tak było, — słusznie - czy nie słusznie, to nie trudno odgadnąć.

Przeznaczeniem dziennika każdego rodzaju jest, być środkiem porozumienia się pomiędzy literaturą a publicznością. Przy wyż wspomnionych okolicznościach, czy może ten cel być w zupełności osiągnionym?

Ale.. mógłbym być łatwo posądzonym o to, iż dlatego że cel osiągnionym być niemoże, to sądzę, że lepiej gdyby całkiem niebyło dzienników. Chociaż po części się to dzieje, bo politycznych niemasz u nas dzienników, wszakże jestem zdania, iż dlatego że są trudności, to nieopuszczać ręce, lecz siły podwajać należy. Kto zwątpił, ten może bezpiecznie położyć się do trumny, nie uczyni ten krzywdy światu. Czego niema dzisiaj, to przy pracy już jutro być może. Do wspólnego dobra wspólne powinny przyczyniać się prace. Dziennikarstwo mogło by u nas wznieść się o wiele i wiele wyżej, niż jest dzisiaj; potrzeba zapewne do tego więcej pracy i usilności ze strony piszących, więcej pomocy i interesu ze strony czytających. Pytanie tylko, kto ma począć? Czy czytający mają skwapliwiej zacząć czytać to, co jest i jakie jest, czy piszący postarać się o to, aby obudzić interes? Zdaje mi się, że to ostatnie. — Wiem bardzo dobrze, że inwokacja choćby niewiedzieć jak szumna do piszących na nic się nie przyda, — ale nieprzeszkadza to zupełnie powiedzieć, że to co jest, jest złe. Zapewne że prace dziennikarskie, pomoc tylko dawana dziennikom, odrywa od prac poważniejszych, — ale kto przedsięwziął czem kolwiek służyć ogółowi, zda mi się, powinien więcej patrzać na skutek dla ogołu, niż skutek dla siebie. Owe zanadto częste i skwapliwe oglądanie się na skutek dla siebie, jest, niech kto co chce powie na to, — jest zbyt jawną wadą piszących. Zapewne że w kraju, gdzie jedyna nagroda za prace naukowe, jest ta szczypta znikomej sławy, którą dadzą, a czasem i nie dądzą po śmierci, zapewne że tam i wada taka jest mniejszą wadą, niż gdziekolwiek bądź indziej, chociaż gdzie indziej niemasz tej wady zupełnie. Dlatego u nas tem więcej zasługi mieli-by ci, którzy acz ważniejszemi zatrudnieni pracami, niezaniedbują od czasu do czasu choć trzaski odpadłe przy ciosaniu owych posągów, udzielać ciekawej profanów gawiedzi. . . profanów, ale zawsze członków tej wielkiej całości, która daje i odbiera sławę nawet największym.

Tym sposobem, przy wzajemnej pomocy i współdziałaniu dałby się przynajmniej jeden krok uczynić na tej drodze, którą za niedostępną uważać przywykliśmy, w tej ciemnicy, którą zprzyczyny naszych niejednakowych usposobień w naukach oświecić trudno, dałaby się choć jedna stopa takiem objaśnić światłem, które by nas w naszych nieporozumieniach cokolwiek zbliżyło.

Tak ze strony czytających jako i piszących dzielnie i stanowczo podparte dziennikarstwo, jest jednym środkiem, którен w społeczeństwach nie zupełnie oświeconych, z przyczyny wychowania wynikającą trudność jednoczenia się na polu myśli, choć w części przynajmniej ułagodzić zdoła.—

Z. Kaczkowski.

Talma i panna Desgarcins.

— Pan jesteś lekarzem. —

— Ja?

— Wszak pan mi to mówiłeś sam wczoraj, odezwał się

chłopczyna — ja opowiedziałem to pani żebyś pan mógł uzdrowić pannę Ludwikę.

— Rzeczywiście jestem lekarzem — odrzekłem, widząc iż w tej chwili niebyło innego środka zaznajomienia się z damami. Wreszcie niebyło to tak wielkie kłamstwo. Bo nauka dentystyki zpowodowała mnie także do zajmowania się medycyną, więc poniekąd byłem zawsze lekarzem. —

— Więc, mowiła pani Desgarcins, chociaż moją córkę już p. Malouet léczy, to jednak myślałam także o panu i umyśliłam pytać pana o radę, gdy mi to dziecko powiedziało że pan okazujesz tyle udziału.

Już od chwili pałałem ciekawością i chęcią ujrzenia twarzy panny Desgarcins, teraz znajdując najlepszą do tego sposobność, rzekłem drżącym głosem:

— Musiałbym przecież ujrzeć przynajmniej trwarz tej pani. —

— Podnieśże welon dziecko moje, rozkazała matka. —

Dwie najpiękniejszych rąk ujęło za końce zasłony — serce moje biło gwałtownie — lecz w chwili gdy twarz odsłonić miała, wyszedł z kościoła ksiądz z kilku znajomymi pani Desgarcins, a Ludwika spuściła swój welon.

— Ten pan niemoże przecież tu przed całym światem dawać swoje rady, rzekła Ludwika — daleko lepiej będzie, jeżeli zechce się potrudzić do nas do domu. —

Byłbym rad ukląkł przed piękną spiewaczką z wdzięczności że tak uprzedziła moje życzenie, i obiecałem stawić się na drugi dzień na ich rozkazy.

Panie mnie pożegnały, ja zaś nader szczęśliwy z tak pomyślnego dla mnie toku rzeczy, zanurzony w najsłodszych marzeniach, udałem się do domu. Gdym się na drugi dzień zbierał pójść do pani Desgarcins, rumieniłem się na tę myśl że przez kłamstwo wkradam się w jej dóm. Uznałem za lepszą, powiedzieć prawdę; napisałem więc list następujący:

Pani!

Nieznośną jest rzeczą dla słusznego mężczyzny przedłużać łudzenie, które jest skutkiem pewnych okoliczności: niepodobną byłoby dlań korzystać z tego. Chociaż się oddawałem kiedyś nauce jednej z gałęzi chirurgicznych, niemogę wszelako uchodzić za lekarza, gdyż wszystkie moje obecne stosunki są tego rodzaju, iż mię coraz bardziej oddalają od tego powołania — które wysoko cenię, a któremu się poświęcać byłoby dla mnie dziś najwiekszem szczęściem. Teraz nic więcej nie pragnę, jak tylko aby mi wolno było spodziewać się, że życzenia moje dla zdrowia panny Ludwiki, którebym tak bardzo rad ustnie wyraził, niebędą źle przyjęte.

Do tego listu dołączyłem zielnik, w którym się znajdywały kwiaty Ludwiki, i posłałem wszystko razem do pani Desgarcins, nakazawszy służącemu wracać jak najprędzej.

Ten dopełnił mego rozkazu, i oświadczył powróciwszy w krótce, iż pani Desgarcins oczekuje mię dziś, i będzie sobie moje odwiedziny za zaszczyt poczytywać.

W dziesięć minut potem już byłem w drodze do p. Desgarcins. Byłto powabny domek biały z zielonemi okienicami wśród miękkiego trawnika stojący. Droga do niego była wysadzona kwitnącemi morwami, zresztą panowała taka samotność w około, niemająca wszelako cechy melancholijnej opuszczenia na sobie, iż ptaki spłoszone ulatywały gdym wszedł do ogrodu otaczającego dóm.

Radośne przeczucia i zbijanie takowych, rozmyślanie czy mię oczekuje, jak mię przyjmie, słowem największe wzruszenie uczyniło mi tę krótką drogę pamiętną na całe życie. Nareszcie stanąłem u kresu.

Niech mi tu wolno będzie opisać mieszkanie pań Desgarcins, bo przywłaszczyłem sobie tę teorję na teatrze, iż niemożna mieć do dobrego wyobrażenia o jakiejkolwiek scenie, nieprzedstawiwszy sobie dokładnie miejscowości.

Pokój, gdzie mię matka z córką przyjmowały, był mały, o dwóch oknach, które przez wpółprzymknięte okiennice wpuszczały tylko półświatło do pokoju. Popielate obicia z rzucanemi gdzie niegdzie kwiatami okrywały ściany. Fortepian stojący między oknami, zdawał się tylko czekać na przyjaźne ręce, któreby chciały obudzić uspione w jego łonie dźwięki. Na środku pokoju stał okrągły stół, na którym się znajdowała waza z porcelany sewerskiej, napełniona konwalją i różami, rozlewającemi zapach po całym pokoju.—

Na przeciw okien alkierz z łóżkiem, które swojem wysokiem i miękkiem wyścieleniem wyraźnie zapraszało do spoczynku — w głębi alkierza zaś wisiał portret Ludwiki.

Szafka orzechowa naprzeciw kominka, na tymże zegar przedstawiający wychowanie amora, pastelowe malowidła po obu stronach zwierciadła w popielate oprawnego ramy, nareście półka z kilkoma książkami nad Fortepianem, stanowiły prawie całe umeblowanie pokoju.

Gdym wszedł do pokoju powstała pani Desgarcins od okna przy którem była ręczną robotą zajęta, i wyszła na przeciw mnie, Ludwika porzuciła także swoje miejsce przy drugiem oknie, gdzie czytała. Ujrzałem tym razem twarz jej odsłonioną zupełnie — była blada, oko czarne łyskające z pod długich rzęsów ożywiało melancholijny układ lica. Na ustach jej malowało się cierpienie, i poddanie się ciężkiemu losowi: — wpół rozwarte uśmiechały się temu światu, podczas gdy wzrok zdawał się szukać w dalekiem przestworzu wyższego swiata, jakiegoś przedmiotu niewidomego dla otaczających. W jej rysach malowało się jawnie zajęcie jakimś nadziemskim celem, nadziemskiemi uczuciami i chociaż w jej uśmiechu znać było udział, nawet współczucie dla otaczających ją, to jednak zdaje się iż oświad-

czenie miłości ze strony mężczyzny przyjęłaby tylko z zadziwieniem.—

Pani Desgarcins rzekła podając mi rękę: —

— Bardzo panu wdzięczne jesteśmy za jego otwartość, i choć niejesteś lekarzem, toś niemniej przeto miłym gościem dla nas.

Na mój ukłon i lekkie zarumienienie się, pochodzące z przypomnienia owego kłamstwa, odpowiedziała Ludwika dobro-dusznym uśmiechem, pani Desgarcins zaś tak dalej ciągnęła:

— Wreszcie choć pan lekarzem niejesteś, trudnisz się przecie botaniką i sprawiłeś nam swoim zielnikiem prawdziwą przyjemność.

— Ja nawet liczyłam na to, rzekła córka, że mi pan Talma raczy dać wyjaśnienie względem cytizu.

To tak wyraźne ściąganie do pierwszego kroku jaki uczyniłem ku zaznajomieniu się z niemi, zpowodowało spojrzeć badawczo na pannę Desgarcins; ona się uśmiechnęła zrazu szyderczo, lecz natychmiast przybrała wyraz łagodzący swą złośliwość.

Po półgodzinnej rozmowie, wśród której poufałość między nami znacznie postąpiła, powstałem by oglądać pastelowe rysunki.

— Jak się panu podobają, zapytała matka.

— Bardzo ładne, odrzekłem, któż te obrazki malował.

— Ja, odpowiedziała —

— Jakto, pani?

— O pan tu się znajdujesz między samemi artystkami, nieprawdaż Ludwiko?

— Przecież nie między takiemi, jakąbym ja być chciała, szepnęła dziewica.

— Ah tak! rzekła pani Desgarcins, ona ma pewien zamiar.

— Powiedz raczej postanowienie, matko, bardzo stałe postanowienie, rzekła panna Desgarcins z rozognionem okiem.

— Czy zjednałem sobie już tyle przyjaźni u pani abyś mi to postanowienie udzieliła?

— Ja mam pana za naszego przyjaciela, chcę mu się nawet z czémś zwierzyć później.

— Czy przyrzekasz mi to pani?

— Daję słowo honoru.

I podała swoję białą dłoń którą ucałowałem z rozczuleniem, potem usiadła do Fortepianu.

— Czy pan lubi muzykę, panie Talma? —

— Byłem w kościele kiedy pani spiewałaś.

— Kiedy panu moja matka pokazała swoje dzieła, więc musisz pan moich posłuchać.

Za chwilę usłyszałem płynącą z pod palców panny Desgarcins melodję cudowną, poetyczną jakiej dotąd niesłyszałem — był to utwor melancholijnej chwili, którego nienapisała, ale uznała mię godnym słyszeć go zaraz za pierwszem poznaniem. —

Gdy skończyła, okazałem moje zadowolenie nie plaskaniem rąk, ale sercem i wzrokiem, bo pomino wszelkiego wstrzymywania się byłem blizkim płaczu. W tej chwili odwołano panią Desgarcins, a ja zostałem z Luizą sam na sam. Wzruszenie które mię owładnęło podozas grania jej, niedozwalało mi rozpocząć powszednią rozmowę, zbliżywszy się więc do niej wziąłem ją za rękę i prosiłem aby mi odkryła swoją przeszłość i swoje zamiary na przyszłość.

Ona podała mi rękę bez obawy, bez nieufności i bez tych nagłych poruszeń, pojawiających się u kobiet gdy się zbliża do nich po pierwszy raz mężczyzna którego skłonność przeczuwają.

— Przyrzekłam panu zaufanie moje, rzekła, i dotrzymam słowa, ale dopiero później, gdy się lepiej obeznamy ze sobą, —

Przyjaźny uśmiech towarzyszył tej mowie.

— Ależ, odrzekłem, przyrzeczenie pani ściąga się tylko do zamiarów na przyszłość, ja zaś proszę o udzielenie mi cierpień minionych. Pani jesteś młoda, a jednak marzący wyraz twarzy, melancholijna poetyczność jej duszy każe wnioskować żeś pani dużo cierpiała; zaufaj mi pani, opowiedz bieg swego życia, a jeżeli pani masz przyjacioł którzy ją dawniej znają, to żaden niejest przychylnieiszym odemnie.

Niemiałam innych cierpień, mówiła Ludwika prócz bolu piersi dla którego mi lekarz kazał nosić ten szkaradny szafranowy welon, podobniejszy do muru niż do zasłony.

Przy tem uśmiechała się uśmiechem kobiety ukrywającej przed ciekawością drugich bolesne wspomienia. —

Pani jeszcze mi zawsze nieufasz, ale niesłusznie — rzekłem

Cale nie, odpowiedziała, przeciwnie czuję wielki pociąg do pana, i byłam bardzo uszczęśliwioną kiedy moja matka postanowiła wezwać rady pańskiej. Później gdyś pan w liście oświadczył żeś niejest lekarzem, jak byłam pierwszą która matkę prosiłam aby pana do nas zaprosić, pojęłam zaraz że pan będziesz mi przyjacielem, tak w tej chwili pojmuję że czas wyjaśnień jeszcze nienadszedł.

— Dla czegoż to?

— Dla czego? — powtórzyła wpatrując się we mnie swemi wielkiemi czarnemi oczyma — pozwolisz mi pan być otwartą?

— Zapewne, —

— Więc, oto dla tego bo pan niewidzisz we mnie dziś jeszcze dziewczyny jakąbyś widzieć powinien, bo przekonaną jestem że moje wyznanie bardzo boleśnieby pana dotknęło, gdyż okazałoby panu niepodobieństwo jednej rzeczy

o której pan myślisz dla tego że mię dopiero od dwóch dni znasz, nakoniec, bo przyjaźń którą pan dla mnie uczuwasz, nie jest taka, jakiej ja sobie życzę.

Przytem ścisnęła mię za rękę i spojrzała na mnie tak iż stłumiła wszelkie wątpienie we mnie.

— Musiałabym być bez rozumu i czucia, dodała, gdybym panu przy dzisiejszem jego usposobieniu chciała dzieje mego życia opowiadać.

Mimowolnie wypuściłem jej rękę którą dotąd w mojej trzymałem.

— Widzisz pan że mam słuszność, rzekła z uśmiechem i powstawszy wezwała mię do przechadzki po ogrodzie. Po półgodzinnej przechadzce w towarzystwie matki, pożegnałem obie w dość smętnem usposobieniu. —

Odtąd bywałem często w domku z zielonemi okienicami. Widoczną była skłonność Ludwiki dla mnie, nie starała się utaić ją, i to mi właśnie było nieprzyjemne. Dziewica kochająca otacza się zwykle w obec kochającego mimo woli mnóstwem wybiegów i pozorów mających pokryć jej skłonność, u Ludwiki właśnie tego niebyło. —

Wreszcie ostatnia jej rozmowa wyjaśniła mi zupełnie czego się mam spodziewać. Pomimo tego niezaniechałem odwiedzin u niej, jedynie dla tego, bo niemogłem się obejść bez oglądania jej, bo ona starała się uczynić mi swoje postanowienie niekochania mię znośnem przez tysiączne względy i dowody przyjaźni. Nasze rozmowy trwały często do późnej nocy; — Ludwika grała, matka jej malowała, ja zaś należałem, do domowego towarzystwa. Jeżeli jednego dnia nieprzyszedłem wtedy czekały mię nazajutrz macierzyńskie wyrzuty, dwa dni zaś jeden po drugim nigdy nieopuściłem.

Prócz p. Desgarcins uczęszczałem do królewskiej szkoły deklamacyjnej, gdziem się uczył pod przewodnictwem nauczycieli Molé, Fleury i Dugazons. Panie moje nietylko wiedziały o zamiarze poświęcenia się teatrowi, ale wszystkie moje nauki powtarzałem przed niemi.

Ludwika szczególnie lubiła słuchać mojego czytania, a gdym wygłaszał jaki ustęp z dzieł którego z naszych wielkich poetów, wtedy widywałem ją zadumaną i pogrążoną w sobie. Często odczytywała sama jaki ustęp. Chętnie słuchałem jej głosu giętkiego, którego zawsze dobrze używała. — Wskutku tego stawały mi się ćwiczenia szkolne coraz nieznośniejszemi, bo mię Ludwika wtedy słyszeć nie mogła, ona która obudzała we mnie prawdziwy zapał i żywe uczucie.

Moje odczyty przy Ludwice przemieniły się wyraźnie w godziny nauki, i odkryłem w niej nadzwyczajny talent do sceny, który myślałem że z nią do grobu pójdzie, bo nie spodziewałem się, aby się kiedykolwiek teatrowi poświęcić miała.

Pewnego dnia zaprowadziłem panie moje na nasze publiczne ćwiczenia.

Przedstawiono *Bajazeta*, ale dama która miała przedstawiać Atalidę zasłabła w chwili kiedy na nią kolej wystąpienia przyszła. Niewiedzieliśmy co począć, gdy mi nagle myśl przyszła, prosić Ludwikę aby tę rolę objęła. Wiedziała ją na pamięć, bośmy więcej niż dwadzieścia razy tę sztukę razem czytali, Ludwika zezwoliła, a matka powierzyła nam córkę z radością.

Prosiła tylko o wolność zatrzymania żółtego welonu, na co tem łatwiej zezwolić można było, gdyż miała przedstawiać turecką księżniczkę. Ludwika nietylko że się podobała, ale odniosła nadzwyczajny tryumf. Ja sam nie grałem nigdy lepiej Bajazeta, jak wtedy.

W piątym akcie przychodzi scena między *Roxaną* i *Atalidą* przy końcu której ta ostatnia mówi:

„Jeźli cieżkiej trzeba kary by zgładzić mój występek, to niech kata ręka nigdy go nie mści. O niestawaj nigdy przed tem sercem tak srogo ranionem, które splamiła krew przelana twoją ręką. O względy błagam dla miłości jego, niech męki jego moja krew okupi. Zaufaj mi, chwila tylko a moja śmierć utrwali twoje zamącone szczęście. Drogi ów bohater, on cię kochać będzie, ja śmierci się poświęcam— ty mu poświęć życie—precz ztąd, precz jam do czynu już gotowa — a gdy powrócisz już ci nie będę więcej przeszkodą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienie.

Od 15go Września r. b. w Zakładzie moim rozpoczyna się nowy kurs naukowy — niniejszém wzywam szanownych Rodziców i Opiekunów, ażeby córki i pupilki swoje, które już w roku zeszłym do mnie uczęszczały, lub na wychowanie powierzone mi były, niemniej i te co mają u mnie z nowo poczynającym się rokiem szkolnym być umieszczone, nie dalej jak do ostatniego Września poprzywozili z wakacyj — a to dla tego, aby razem rozpocząć mogły nauki, i uniknęły później mozołu, chcąc wyrównać wcześniej przybyłym. —

Julia Goczałkowska.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.